



Przeгляд warszawski 1922
Luty

LWÓW FREDROWSKI.

Charakter i wygląd miasta; mieszkańcy sezonowi. — Handel; kontrakty, palestra, Ormjanie. — Towarzystwo lwowskie; obyczajność. — Ruch literacki i umysłowy. — Współpracownictwo Fredry w *Pamiętniku lwowskim*. — Cenzura; jej ciężenie nad komedją Fredry. — Teatr, jego twórca, pierwsi aktorowie. Położenie materialne. Publiczność i nastroje. Teatr lwowski a Fredro. — Dusza Lwowa. Lud lwowski i jego odbicie u Fredry.

Przy znikomem znaczeniu kulturalnem miast galicyjskich w epoce fredrowskiej, życie całej niemal dzielnicy ogniskowało się we Lwowie. Tylko najbardziej na zachód wysunięte powiaty ciążyły ku Krakowowi, który, jako stolica mikroskopijnej Rzeczypospolitej Krakowskiej, odcięty był kordonem nie tylko od Galicji, ale od całej reszty ziem polskich.

Lwów ówczesny, choć uchodził w oczach swych mieszkańców za wielkość, nie był miastem dużem; liczył zaledwie czterdzieści kilka tysięcy mieszkańców. Pomimo cudzoziemskich władz, urzędów i garnizonu, pomimo sprowadzonych kupców i rzemieślników Niemców, posiadał podobnie jak i dzisiaj charakter zdecydowanie polski, choć zarząd miasta oddano przeważnie w ręce Niemców. „Wogóle zastałem Lwów — powiada przybyły z Królestwa Maciejowski¹ — nie tak, jak mi opisywano, że miał się zniemczyć. I owszem, prócz polskiego ducha, który między obywatelami panuje i jak święty ogień żarzy się tajemnie, miasto zachowało nawet zewnętrzną postać miasta polskiego. Wszystkie napisy i doniesienia publiczne są w polskim języku, chociaż obok zawadza jeszcze niemczyzna. Wszędzie mówi się tu po polsku, tylko urzędowe sprawy odbywają się po niemiecku...”

Mimo przesłizne, po dziś dzień należyce nie wyzyskane położenie u stóp Wysokiego Zamku, wewnątrz miasta nie odznaczało się pięknnością. Skrepowane korytem cuchnącej Pełtwi i istniejącymi wówczas wałami, zabudowane było ciasno. Ówczesną *city* lwowską stanowiło dzisiejsze śródmieście wraz z kompleksem domów przy dzisiejszym placu Halickim, Marjackim i ul. Legjonów. Tylko ta część miasta była zabrukowana; błota więc i kurzu, przy kotlinnem położeniu miasta, nigdy tutaj nie brakło. Przyległe części, jak n. p. Chorażczyzna, dolny Lyczaków, posiadały już

¹ Ignacy Maciejowski: Wpomnienia z 1831 r. (*Tygodnik ilustrowany*, 1921 Nr 13, str. 202)

7405

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
http://rcin.org.pl 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

charakter przedmiejski, zabudowane były nieregularnie dworkami i domami drewnianymi. Wieczorami nie były wcale oświetlane. Stąd zrozumiałe jest w *Liście* zakłopotanie i irytacja Leona, który, wybrawszy się tam na schadzke, nie może odczytać numeru domu Orgona:

Ha! Sto trzydzieści ma być numer domu.
Czyta nad drzwiami, spinając się i zachodząc z różnych stron.
 Jeden jest... Lecz to?... Pięć?... nie, trzy, trzy oczywiście!
 Ach, nie trzy — ośm! Nie... to jest... Niech cię piorun trzaśnie!
 Głupiec! Napisał jakby datę w liście, (*chodzi*)
 Tak drobno, cienko, jak na drwiny właśnie.
 Łokciowe być powinny numeru na bramie.
 Niech nikt oczów nie psuje i głowy nie łamie.
 Przekłete drobne numeru!

(*List, sc. 1.*)

Nie jest też wcale teatralną przesadą, że przy takiej ciemności Zdzisław, zamiast uroczej kibici bogdanki, chwycił w objęcia swego rodzonego stryjaska w szlafroku i wycisnął na jego policzku gorący pocałunek.

Budynków okazałszych, poza dochowanymi do dziś zabytkami z czasów polskich i dawnym ratuszem z piękną wieżą, która runęła w 1826 roku, było niewiele. Rząd austriacki z zasady nic nie budował. Przerabiał tylko i „rozbudowywał“ na swój użytek budowle publiczne i kościoły, odziedziczone po Rzeczypospolitej, zacierając grubym stylem koszarowym dawne ich cechy architektoniczne. Kamienice, przeważnie dwupiętrowe, były wąskie, ciasne, obdrapane; fasady monotonne, ordynarne i bez życia. Wystaw sklepowych nawet bardzo bogate i zasobne sklepy nie posiadały. W bramach przechodnich, w zaułkach, przy placach i ulicach mieściło się pełno straganów i budek.

Swój wygląd dzisiejszy i cały współczesny rozmach wielkomiejski zawdzięcza miasto dopiero późniejszej „polskiej gospodarce“ z doby autonomji. *In illo tempore* zewnętrzny wygląd Lwowa przedstawiał się niepoźeśnie i tylko bardzo zakochanym oczom Lwowianina mógł się wydać pięknym. Humorystyczny skrót tej panoramy lwowskiej zawiera *Dożywocie*:

Skądże rozpacz tak zbyt sroga?
 Patrzaj, jaki świat wesoly,
 Patrz na chmury — na te góry,¹
 Na ulice, na kościoły,
 Na te fiakry, na te budki,
 Te piękności dzieł natury!

(*Dożywocie* III, 8).

¹ „Te góry“, które wskazuje Łatka — to Wysoki Zamek i Góra Piaskowa. Nie były one jeszcze wtedy zadrzewione i świeciły przynębiająco nagimi, szaremi gnatami swego kredowego piaskowca. Na podstawie tego widoku, który Łatka roztacza przed Leonem, można dość dokładnie oznaczyć miejsce wyobrazonej akcji w *Dożywociu*. Wyobrażał je sobie poeta w dawnym zajęzdzie *Hôtel de Russie* (dziś Hotel George'a) albo w którymś z pobliskich zajazdów przy pl. Marjackim, tak że z okna roztaczał się widok na dzisiejszy pl. Marjacki i północną część miasta.

Taki to mało zachwycający widok Lwowa roztacza Łatka przed oczyma Leona, chcąc go odwieść od samobójstwa. Że nie zachęcił go przez to do przyspieszenia sobie gwałtownej śmierci, to przypisać należy nienabitemu pistoletowi i brakowi rzetelnej samobójczej myśli w postanowieniach Leona.

Głównem miejscem przechadzek, flirtu i pokazu tualet dla miejscowych eleganek były Wały Hetmańskie, które ówczesnie były jeszcze naprawdę „wałami“, wznosiły się bowiem kilkanaście łokci nad poziomem otoczenia i odkrytej Pełtwi. Zdaje się, że w tem miejscu, jeśli nie w ogrodzie Jezuickim, przedstawiał sobie poeta akcję *Pierwszej lepszej* i pełną wdzięku Zosię, obchodzącą ławeczki z koszykiem i wołającą: „Nie chcą panowie malin? Maliny, panowie!“ (sc. 4).

Miejsce dalszych przechadzek czy przejażdżek posiadał Lwów, podobnie jak dzisiaj, bardzo wiele i bardzo pięknych. Niejedno z nich zostało już pochłonięte przez rozrost miasta. Zaczawszy od Hołoska i Kleparowa, słynnego ongiś swemi czerechami, poprzez Kortumówkę, Nowy Świat, Kastelówkę, Stawy Panieńskie, Wólkę, Zofjówkę, Żelazną Wodę, Snopków, Zielone, Pohulanek, Jałowiec aż hen po Czartowską Skalę i Winniki, otaczały miasto wiankiem miejsca urocze. To sielskie, nad uśmiechniętymi stawami położone zacisza — to znów posępne, groźne i dzikie odstępy, jakby wyrwane z karpackiej gardzieli. Po tych to miejscach doznawał dziwnych przygód Astoff z *Nieszczęść najszczęśliwszego męża*, tędy to w chwilach wolnych od polowań za oswojoną zwierzyną wyjeżdżali w ponsowych frakach na polowania *par force* Wacław, Alfred i ich towarzysze; tutaj to w dni świąteczne ciągnął ludkę lwowski, a w powszednie i pogodne zajeżdżały nawet błyszczące powozy tutejszej sosjety.

Albowiem oprócz mieszkańców stałych posiadał Lwów jeszcze mieszkańców sezonowych. Z nadejściem jesieni zjeżdżała tutaj regularnie na pobyt zimowy arystokracja i zamożniejsza szlachta. Bardzo wiele rodzin posiadało w mieście domy własne, inne najmowały mieszkania sezonowo (stąd we Lwowie *pomieszkaniem* zwane) u lwowskich kamieniczników lub mieściły się po hotelach, wtedy bardzo prymitywnych, brudnych i niewygodnych. Wskutek przeludnienia było o mieszkanie zawsze bardzo trudno a czynsze były niemożliwie wyśrubowane. Za czysty pokój bez urządzenia płacono się miesięcznie 25 złotych reńskich, t. j. cenę okazałej krowy. Mniej zamożny szlachcic, który przyjeżdżał nie dla zabawy, ale w interesach, musiał, zwłaszcza podczas kontraktów, dobrze naruszyć swą sakiewkę, chcąc dni kilka w mieście zabawić.

LATKA. Aj, aj, panie, co ci w głowie
 Tu zajeżdżać obcesowo.
 Tu jak dzwońca cię oskubią,
 Bo tu skubać djable lubią.
 Aj, podrwiłeś nieco głową.

ORGON. Wiem, czem pachnie, lecz musiałem,
 Stancji niema w mieście całym.

(*Dożywocie II, 2*).

Wobec upadku produkcji miejscowej i braku dróg wodnych, ceny towarów, sprowadzanych przeważnie z Wiednia drogą kołową, były bardzo wysokie. Najświetniej względnie szły interesa handlowe, obliczone na zamożną klientelę z prowincji; prosperowały więc składy wiedeńskich mebli, sklepy galanteryjne, modystki, krawcy i cukiernie. O krawcu „z cyrklem, perspektywą“, co „mierniczy stół rozkłada“ i bierze miarę sposobem trygonometrycznym, wspomina *Dożywocie*; o modystkach i cukierniach dowiadujemy się z *Nieszczęść najszczęśliwszego męża*. Nieźle rozwijały się także księgarnie. Koncesje na nie otrzymywali jednak wyłącznie Niemcy; Niemcem z pochodzenia (Ślązakiem) był pomimo swego polskiego nazwiska także Milikowski, który we Lwowie dopiero spolszczył się nanowo.

Osobliwością owych czasów była wędrowna księgarnia Jabłońskiego, który naładowawszy na wózek, w dwie szkapiny zaprzężony, rozmaite „ostatnie nowości“ w postaci kalendarzy, noworoczników, nieco romansów, poradników gospodarskich, książek do nabożeństwa i ze dwa egzemplarze *Pamiętnika lwowskiego* lub *Pszczółki polskiej* wyruszał w świat na zdobycie miłośników literackiego piękna. W dni targowe stawał namiotem po większych miastach, a zresztą objeżdżał dwory szlacheckie i folwarki, roznosząc w ten sposób po prowincji mdły kaganiec ówczesnej oświaty. Jest to ów „wózek księgarza“, o którym wspomina Astolf w *Odludkach i poecie*:

Niemiec, Włoch i Francyi krzyżują się dzieła:
 Nasze? — jakże to ciasna granica objęła!
 Dwa albo trzy teatry i wózek księgarza,
 To teraz pole sławy polskiego pisarza.

(*Odludki i poeta*, sc. 11)

Poza miesiącami zimowemi zaludniał się Lwów licznem obywatelstwem z prowincji jeszcze raz do roku, mianowicie w czasie kontraktów. Za czasów polskich odbywały się one w porze najdogodniejszej, t. j. w zimie. Rząd austriacki, trudno uwierzyć, że nierozmyślnie, przesunął je na okres najgorętszych prac w polu, a więc na maj, a w omawianej epoce aż na czerwiec. Dzięki temu terminowi już wtedy przyzwyczajala się szlachta do sprzedawania zboża na pniu i uczyła się wstawiać w budżet gospodarczy „widoki“ na urodzaj w miejsce wartości pozytywne. Na kontraktach załatwiano kupno i sprzedaż majątków ziemskich, umawiano się o terminy i czynsze dzierżawne.

Było to żniwo grubych dochodów dla palestry lwowskiej, która w gronie swem liczyła wielu szeszanych rabulistów. Niejedną rodzinę puszczone wtedy z torbami, niejeden majątek sierociński lub w opiece zostający rozstał się nazawsze z prawnymi właścicielami. Nic dziwnego, że Marta Śmigalińska (*Pierwsza lepsza*) aż ze Żmudzi tutaj przyciągnęła, ażeby się bronić przed „opieką“ niepożądaną, która nietylko na Żmudzi trwać mogła „dwa wieki“.

Poza umowami były kontrakty porą wielkich jarmarków na inwentarz żywy, na sprzęt gospodarski i kuchenny, na wełnę i na woły opasowe. Handel wołami spoczywał prawie wyłącznie w rękę polskich Ormjan z Pokucia. Niektórzy z nich dorobili się na tem, zupełnie zresztą uczciwie, bardzo wielkich majątków. Ponieważ inne działy kupiectwa nie wydawały wówczas wielkich bogaczy, przypuszczać należy, że tylko jakiś wzbogacony Ormjanin stanowił model dla postaci Wtorkiewicza z *Przyjaciół*. Tej okoliczności zawdzięcza Wtorkiewicz nie tylko swoje imię, wyprowadzone z dnia targowego w Ułazkowcach, Gwoźdźcu czy w jakiejś innej Tyśmienicy, nie tylko śmiech głośny, rubaszny a dobroduszny prawdziwego wychodźcy z pod Araratu, nie tylko świadomość, że „baronostwo ciągnie się za złotem“, ale i to przedewszystkiem, że jest charakterem dorobkiewicza, skreślonym bez najmniejszej animozji, a nawet z pewną pobłażliwą sympatją.

Skoro już o kontraktach mowa, wspomnieć nie zawadzi, że w porze kontraktów czerwcowych pomyślana jest akcja *Dożywocia*; na ten czas zjawia się zwyczajnie na przedmieściu Krakowskiem „H. Karlo Bombalini, który będzie miał zaszczyt odprawić podróż nadpowietrzną w olbrzymim balonie, niewidzianym dotąd w Europie“ (akt II, sc. 1). Ze względu na tę porę powinniśmy widzieć Orgona, zajeżdżającego do gospody w nieodłącznym dla przybywającego ze wsi szlachcica szarym prochniku.

Życie lwowskiej sosjety, choć było bardzo kosztowne i wymagało ówczasie znacznego nakładu energii, nie stało wysoko ani pod względem umysłowym, ani obyczajowym, ani nawet towarzyskim. Tych stukilkudziesięciu ludzi, zamożnych bezwątpienia i błyszczących, ale o poziomie umysłowym mniej niż prymitywnym, zjeżdżało się tutaj rokrocznie właściwie poto, ażeby się wspólnie wynudzić. Przy utrudnionych stosunkach z Zachodem i z resztą Polski, zdane wyłącznie na siebie, obracające się w kole wiecznie tych samych, do sytości znanych figur, przedstawiało to towarzystwo mały partykularz. Nic dziwnego, że jako *Parafjanszczyzna* potraktował je później Leszek Borkowski.

Przy braku jakichkolwiek zainteresowań ogólniejszych musiano się interesować sprawami bliźnich więcej, niż potrzeba. Komeraże i plotki stanowiły więc nieodłączną, a tem łatwiejszą przyprawę życia, że wszyscy znali się nawzajem. Mistrzowski okaz takiego nicowania swoich bliźnich

w towarzyskiej pogawędce, zamknął poeta w scenie ósmej I aktu *Meza i żony*. Osoby nieobecne przesuwają się pomiędzy wierszami rozmowy, tak świetnie uchwycone, plastyczne i żywe, że mimowoli ulegamy złudzeniu, jakobyśmy je znali oddawna. I tę Stolnikową, co „sama rozprawia, sama się i śmieje,“ i Anielę w żalobie po mężu, który dziś „wyjechał a jutro powróci“, i „postrach fraka“ — „gipsem proszącą“ Julję i „tę figurę zawsze winszującą, śmiejącą się, kochającą i bardzo nudzącą“ Erazma, i Kasztelaną, co ku swym procesom „już rozpuścił żagle“ i tego „dobra Barona co kocha swego żona“ a żona „wojskowości sprzyja“. Chociaż cała ta scena pozostaje w formalnym związku ze słynną sceną (II, 5) moljerowskiego *Mizantropa*, to jednak trudno nie dostrzec, że była ona konieczna i wręcz nieunikniona. Bez niej bowiem obraz wyższego towarzystwa lwowskiego byłby w *Mężu i żonie* bardzo niezupełny.

Swoboda obyczajowa, przepędzona już dawno z salonów zachodnich, kwitnęła tutaj, jak w każdym spóźnionym partykularzu, jeszcze w najlepsze. Fredrowskie powiedzenie „Niejedna najgorzej zrobi, byle tylko za parafjanke nie uchodzić“ (*Zapiski starucha*) charakteryzuje doskonale owe czasy. W takich warunkach dobre pożycie małżeńskie należało do rzadkości. Nie dziwnego, że komedja fredrowska tak często powraca do tej sprawy. Pominąwszy komedję *Mąż i żona*, która w całości tę stronę życia wystawia, cały szereg innych dzieł (*Zrzedność i przekora*, *Pierwsza lepsza*, *Damy i huzary*, *Odludki i poeta*, *List* i t. d.) dotyka tej kwestji, wprawdzie przygodnie i mimochodem, ale bardzo często, wytykając złe prowadzenie się żon w równej mierze, jak i mężów.

W dobie bezreligijności, wzgardy dla dawnych obyczajów i zaniku istotnej kultury duchowej — wszystkie błyskotliwe zalety towarzyskie, jak dobre maniery, gładkość i uprzejmość wzajemna, stawały się tylko czczym blichtrzem. Z poza cieniutkiej warstewki tego towarzyskiego pokostu wyzierała przy pierwszej lepszej sposobności gruboskórność bardzo jeszcze pierwotna. Jest zrozumiałe, że w takich warunkach wszelkie nieporozumienia lub tarcia małżeńskie wyrównywano jeszcze często przy pomocy — kija. O czułościach małżeńskich w tym rodzaju wspomina nieraz komedja Fredry. Z dzieł wcześniejszych wystarczy przypomnieć choćby ustęp następujący:

Że się czasem małżeństwo poskubie, podrapie,
No to coże to szkodzi? Kto złapie, ten złapie;
I cicho i sza! zgoda! Lecz naruszać gości!?
Czyś sfiksował?

(*Pierwsza lepsza*, sc. 6).

Objawy czułości w tym rodzaju musiały się często powtarzać, skoro dało to powód *Pamiętnikowi lwowskiemu* do zamieszczenia (w t. I z r. 1817) bardzo ciętej i dowcipnej rozprawy, z francuskiego tłumaczonej czy przero-

bionej, pod tyt. *O chwalebnym zwyczaju bić to, co się kocha*. Autor jej, przyjąwszy tok i pozory dysertacji filologicznej, wywodzi żartobliwie, że „nader nierozmyślnie jest ganić tych, którzy swoje kochanki czasami porządnie obiją, bo oni w tem jedynie tylko naturą i czułością się powodują. Zbić ten szkodliwy przesąd, Mości Panowie, jest zamiarem niniejszej rozprawy. Sama z siebie na 3 części się dzieli. W pierwszej okażę, że przy stojność koniecznie wymaga, by w szafowaniu plag przedmiotom swego kochania nie być oszczędnym i że nic lepiej nad to nie skutkuje. W drugiej, że Grecy bili swoje kochanki a Rzymianie toż samo czynili, w trzeciej, że tak szlachetny zwyczaj tylko w wiekach najwyższej oświaty panował.“

*

Nie zachwycająco przedstawiał się również, zwłaszcza w pierwszej połowie tej epoki (przed 1831), poziom życia umysłowego i literackiego, choć nie brakło nigdy ani jednostek ani starań, zmierzających do jego ożywienia i podniesienia.

W r. 1816 Adam T. Chłędowski rozpoczął wydawać we Lwowie przegląd miesięczny p. t. *Pamiętnik lwowski* (1816—1819). Pismo to, choć może nie dorównywało ruchliwością, poziomem i poczytnością *Pamiętnikowi warszawskiemu* było redagowane bardzo starannie. W artykułach bądź to tłumaczonych, bądź oryginalnych poruszało sprawy ważne i społecznie doniosłe. Po czterech latach *Pamiętnik* jednak upadł z braku poparcia. Ten sam los spotkał później *Pszczółę polską* (1820) i *Pamiętnik galicyjski* (1821), które przestały wychodzić po jednorocznem istnieniu.

Świadectwem ospałości umysłowej t. zw. oświeconego społeczeństwa jest liczba prenumeratorów. Najwyższą cyfrę w tym względzie osiągnęła *Pszczółę polska*, bo aż... 265; *Pamiętnik lwowski* miał ich w 1819 roku 263. Jeśli odliczyć z tego ponad 100 egzemplarzy, prenumerowanych przez czytelników zakordonowych i instytucje, otrzymamy około półtorej setki ludzi (w tem zaledwie 49 utytułowanych), którzy abonowali jedyne poważniejsze i dostępne im pismo w języku ojczystym. Dowóz bowiem pism zakordonowych lub cudzoziemskich, z wyjątkiem wiedeńskich, był utrudniony i ulegał ciąglej konfiskacie. Jeśli nawet przypuścimy, o czem wątpić można, że wszyscy opłacane pismo czytali, to mimo to obraz czytelnictwa i zainteresowań umysłowych dzielnicy przedstawia się nam niebardzo pochlebnie.

Najsmutniejszym było to, że pismo raz przerwane nie mogło być wznowione, a uzyskanie koncesji na inne stało się później niemożliwością. Kiedy w r. 1825 J. N. Kamiński wniósł podanie o koncesję na dwa pisma, jedno o treści mieszanej (*Iris*), a drugie wyłącznie literackie (*Merkury*),

Wiedeń odrzucił podanie pomimo przychylnego poparcia ks. Lobkowicza.¹

Po upadku wspomnianych miesięczników ostały się na placu same tylko *Rozmaitości*, skromny, czterokartkowy (in 4^o) dodatek do rządowej *Gazety lwowskiej*, pojawiający się raz na tydzień. Pisemko to, przechodząc lepsze i gorsze koleje redakcyjne², skupiało z konieczności prawie wszystkie pióra tutejsze. Półrządowy jednak charakter czynił je (zupełnie niesłusznie) podejrzanem dla ogółu, usposobionego patriotycznie. Jakkolwiek odnosiło się ono zawsze bardzo przychylnie do twórczości Fredry, to jednak w oczach Napoleńczyka uchodziło za zamaskowany organ „czarno-żółty“ i nie cieszyło się nigdy jego współpracownictwem. W swej komedji *Gwaltu co się dzieje* nie oszczędził mu nawet dość cierpkiej aluzji.

Ze względu na Fredrę największe znaczenie w ówczesnej literaturze perjodycznej posiada *Pamiętnik lwowski*. W swej autobiografji, napisanej w starości, powiedział wprawdzie Fredro, że „płomień, wznoszący się z tego stosu suchych gałęzi, nie grzał ani świecił“, ale bliższe wglądnięcie do teki redakcyjnej tego pisma przekonywa nas, że było inaczej, że lata przesłoniły i zataryły w pamięci poety jego stosunek do *Pamiętnika*. W istocie bowiem Fredro był nie tylko abonentem, ale gorliwym czytelnikiem i współpracownikiem tego pisma.

Oprócz znanej już (dzięki H. Biegeleisenowi) rozprawy p. t. *Rzut oka na dzisiejsze wychowanie młodzieży* (1818, t. II), można na podstawie autografów, przechowanych w tece, ustalić autorstwo Fredry dla następujących utworów, ogłoszonych w tem piśmie bezimiennie: *Kupido bankierem*, powieść (1816, t. II), *Epigramata* (1816, t. II), *Strumyk* powieść (1818, t. II), i wreszcie: *Czyżyk i zięba*, bajka (1819, t. II). Ze względu na późniejszą twórczość Fredry, ważne znaczenie posiada bajka *Czyżyk i zięba*, jakoteż jeden z epigramatów, który przytaczam w całości:

Leon przeciwko światu prawi swe morały,
Utrzymuje, że w zbrodni zanurzył się cały,
Że jest zbiorem sromoty i nędzy.
Dlaczegoż to?... Bo on bez pieniędzy.

Bajka *Czyżyk i zięba* w postaci nieznacznie zmienionej posłużyła później pocie do wyrażenia idei ostatecznej *Pana Jowialskiego*. Powyższy zaś epigramat, umieszczony w pierwotnym tekście komedji pod adresem Ludmira, miał służyć do wyrażenia ujemnego poglądu poety na postać, którą krytyka pojmowała stale jako charakter sympatyczny i dodatni.

¹ Wiadomość tę zawdzięczamy rękopiśmiennej, nie ogłoszonej jeszcze pracy p. Augusta Paszkudzkiego: *Ks. August Longin Lobkowicz, gubernator Galicji (1826—32)*.

² Dcskonałą monografię *Rozmaitości i Gazety lwowskiej* z tych lat zawdzięczamy prof. Wilhelmowi Bruchnałskiemu (w księdze zbiorowej *Stulecie „Gazety lwowskiej“*).

Oplakanie przedstawia się ruch naukowy prowincji. Ówczesny uniwersytet lwowski, pominałszy już jego charakter i zadania germanizatorskie, był obsadzany przez rozmaitych *kulturträgerów* wiedeńskich, zainteresowanych wielce swą „karjerą naukową“, ale bardzo mało — nauką. Ufundowaną przez Ossolińskiego katedrę języka i literatury polskiej zajmował niejaki Michalewicz¹, o którym historia to jedynie zanotowała, że po panu Piachetce piastował godność nauczyciela domowego młodszych Fredrów i był redaktorem *Gazety lwowskiej*. Wielką sympatją u młodzieży uniwersyteckiej cieszył się, nie dla swej wiedzy, ale z powodu zapatrywań wolnościowych, poczciwy deklamator-entuzjasta, prof. Maus.

Jedynymi przedstawicielami nauki, historycznej wyłącznie, są epigoniowie epoki stanisławowskiej: J. M. Ossoliński i ks. Fr. Siarczyński, dyrektor Ossolineum. Z ich śmiercią gaśnie i ten ostatni promyk światła. Z młodszej generacji znaczną wiedzę historyczną posiadał A. T. Chłędowski, redaktor *Pamiętnika lwowskiego*. Ale i on, zrażony warunkami i ospałością tutejszą, czmychnął do Warszawy.

Zakład narodowy im. Ossolińskich, choć ufundowany jeszcze w r. 1817, trwał lata całe w stadjum żółwiej organizacji i nie posiadał jeszcze ówczesnie znaczenia ogniska umysłowego i naukowego. Za ledwie zaś zdołał nawiązać nie łączności ze społeczeństwem, został z całą bezwzględnością zamknięty (1834). — Przed r. 1831 jedynym wyrazem umysłowych i naukowych pretensyj dzielnicy są takie plody samouctwa jak dwie „filozoficznościowe“ rozprawy J. N. Kamińskiego o języku polskim. Obie po dziele tak pomnikowym, jak słownik Lindego, przedstawiają w świetle kompromitującym zarówno „filozoficzność“ jak i „językowość“ tutejszą. Styl tych rozpraw, ogłoszonych w *Haliczaninie* z 1830 roku, wydrwił i ośmieszył Fredro, wkładając go w usta Heleny z *Pana Jowialskiego*.

Narzędziem, służącym do tłumienia światła i zabicia ruchu umysłowego, była c. k. cenzura. Poddawała ona obcięciu i ścisłej rewizji nie tylko rękopisy, przeznaczone do druku, ale wszelkie, nawet antykwaryczne, polskie i cudzoziemskie druki, przybywające z zagranicy lub z za kordonu (książki, pisma, dzienniki, nuty, ilustracje i t. d.) Że tępiła każda, nawet bardzo umiarkowaną myśl narodową, polityczną lub społeczną, to w dobie metternichowskiej reakcji rozumie się samo przez się. Działalność jej sięgała jednak dalej. Często niszczyła ustępy, które, nie zagrażając w niczem prawomyślności i dobrem c. k. obyczajom, miały jedynie nieszczęście nie podobać się osobistym opiniom pana cenzora.

¹ Wasylewski St.: *Mikołaj Michalewicz, redaktor „Gazety lwowskiej“ (1827—1834) w księdze zbiorowej Stulecie „Gazety lwowskiej“, T. I, cz. 2.*

W artykule A. T. Chłędowskiego p. t. *Teatr lwowski. Wystawienie Alziry*,¹ skreślono np. takie wielce rewolucyjne zdanie, że „JPan Malinowski [w swej roli daleko lepiej] publiczności się podobał [niż jednostajny JPan Starzewski].“ W tymże artykule uznał cenzor Winiwarter za stosowne wziąć w obronę przed piórem krytyki już nie dobrą sławę czarno-żółtej monarchji, ale samo zachowanie się w miejscu publicznem rozmaitych złoconych trutniów, niszcząc charakterystyczny dla obyczajów ówczesnych ustęp: „[Młodzież nasza wyższej klasy sposobi się w przymioty, których ten ich ton dobry wymaga. Umie sobie chustkę modnie zawiązać, czubka przyglaskać, nóżką zręcznie wywinać, być bezczelną, a jeśli jeszcze po francusku zabelkoce, posiada zupełną edukację. Lecz zapytaj z nich którego, co to za zwierze ten Szyller, powie ci, że nie ma czasu, musi oddać wizytę pani W...²]. Jeżeli taki modniś wpadnie wśród trelów na parter, zlorynetuje rzędem łoże, skłania się, pochwali J. P. Rutkowską³ i rusza dalej — naczóż ma się pocić biedny aktor?“

Kreślono niemiłosiernie nawet tytuły książek w katalogach księgarskich, kreślono w rozprawach naukowych przytoczenia z autorów dawnych lub z dokumentów historycznych, co uniemożliwiało zupełnie pracę naukową, kreślono zapamiętałe wyraz „Polska“, „polski“, „ojczyzna“, choćby z tego najdziwaczniejszy nonsens miał wynikać. „Czytałem sam — powiada Lud. Jabłonowski w swoich *Pamiętnikach* — dopisek na manuskrypcie: *setzen sie statt* „ojczyzna“ — „siwizna“, „blizna“ *oder so was reimendes*. W takim razie aktor nakazany bezsens z przyciskiem deklamował, sypały się oklaski a cenzor się cieszył, że tak szczęśliwie zapobiegł zgorzeniu“.

W takich warunkach pisał Fredro swe komedje. Jest rzeczą zrozumiałą, że były całe dziedziny życia, o których jego komedja musiała zachować milczenie grobowe a jeśli tknęła się tematów niedozwolonych (*Pan Geldhab*, *Gwałtu co się dzieje*, *Pan Jowialski* i t. d.), to do tyłu wybiegów, osłonek i kruczków musiała się uciekać, że nadweręzała tem nie tylko artyzm dzieła, ale powodowała najopaczniejsze jego pojmowanie. Pomimo cenzurowych ostrożności autora pozwalała sobie cenzura nieraz na filologiczną redakcję tekstów, które do dnia dzisiejszego zachowują jeszcze owe c. k. korektury i interpolacje. Ponieważ wiele z ocenzurowanych rękopisów fredrowskich zaginęło podczas bombardowania Lwowa w r. 1848, niema nadziei, żeby wszystkie te wtręty lub zmiany wymuszone dały się z tekstu usunąć.

*

¹ *Pamiętnik lwowski* 1818, II. 36—44. W klamrę ujmujemy miejsca w cenzurze zniszczone.

² Był to dom jakiejś ówczesnej... Mrs. Warren.

³ Licha aktorka, cieszyła się względami złotej młodzieży i „prymasa Galicji“ hr. Ankwicza.

Jedną z najjaśniejszych stron ówczesnego literackiego i umysłowego życia przedstawia teatr. Niepokazna, z dawnego franciszkańskiego klasztoru przerobiona buda, stojąca ongiś na miejscu dzisiejszej szkoły Mickiewicza, przy placu *Castrum* (dziś ulica Teatralna), nosiła nazwę lwowskiego teatru¹. W sali ciemnej i odrapanej, gdzie widz spóźniony musiał wspinać się po drabinie, ażeby zająć swoje miejsce, na scenie oświetlonej kilkoma kopącymi lojówkami otrzymywały pierwszą sceniczną oprawę dzieła największego w XIX stuleciu komedjopisarza.

Stworzony niemal z niczego, w warunkach kulturalnych gorzej niż oplakanych, jest ówczesny teatr lwowski chlubnym dziełem jednostki, nieznużonej w pracy a pełnej poświęcenia i ukochania swego zawodu. Jednostką tą był Jan Nepomucen Kamiński, nie tylko „dyrektor i antreprenier“, jak się mówiło ówczesnie, ale istotny twórca i dusza tego dzieła. Oddany całkowicie umiłowanej sztuce scenicznej, skupił około siebie grono aktorów, wykształcił ich na pojmujących swój zawód artystów, stworzył własną pracę repertuar teatralny, własną ofiarnością zaopatrzył teatr w środki sceniczne a zapobiegliwą i przezorną polityką zdobył dlań prawo bytu we Lwowie mimo niechęć i przeszkody władzy rządowej. Z jego szkoły wyszli aktorowie tak znakomici jak Benza, Smochowski i Nowakowski, których talent mógł zdobyć najpierwsze sceny ówczesne.

Najlepsze jednak kierownictwo i najświetniejsi nawet aktorowie o pomyslności teatru jeszcze nie stanowią. Musi on mieć swoją publiczność i odpowiednie warunki kulturalne i materialne. A te właśnie były jak najgorsze. Rząd utrzymywał scenę niemiecką we Lwowie kosztem teatru polskiego, który musiał płacić spekulantom teatralnym niemieckim suty czynsz dzierżawny; wzamian zato wolno mu było dawać przedstawienia zaledwie dwa razy w tygodniu i to w dni najmniej dla widowisk odpowiednie, bo w poniedziałek i w piątek. „Tłuste dni“ teatralne, jak sobota i niedziela, wraz z resztą tygodnia należały do Niemców.

Pomimo tego uprzywilejowania pasorzytniczego a lichego teatru niemieckiego, nie miałby teatr polski powodu obawiać się rywalizacji, gdyby doznawał należytego poparcia od publiczności oświeconej i zamożnej. Tak jednak nie było. L. Jabłonowski rozpowiada wprawdzie cuda o tem poparci, przeczą mu jednak fakta, które każą te i inne twierdzenia jego *Pamiętników* włożyć między bajki. Co pewien czas następował w życiu teatru polskiego dotkliwy kryzys finansowy. Trzeba było wyjeżdżać na prowincję lub do Krakowa, ażeby poprawić kasę. Czasem nastawały

¹ St. Peplowski: *Teatr polski we Lwowie (1780—1881)*, Lwów 1889.



momenty wprost katastrofalne, którym jedynie ofiarność jednostek chwilowo zapobiegała¹.

Publiczność zamożna i t. zw. oświecona nie popierała teatru mimo jego doniosłe ówczasie znaczenie narodowe i moralne. Że popierać mogła, o tem świadczą choćby koncerty śpiewaczki Catalani, które cieszyły się niesłychanym powodzeniem u rozentuzjasmowanej arystokratycznej gawiedzi. „Dochód z jednego jej koncertu byłby niemalym już funduszem na założenie konserwatorium muzycznego lub na zabezpieczenie teatrowi naszemu trwałego istnienia“ — pisał Walenty Chłędowski.² To było powodem, że Kamiński wbrew własnym upodobaniom literackim i artystycznym musiał się liczyć z niewybrednemi gustami „wyższej“, t. j. galeryjnej, publiczności. Wielbiciel repertuaru klasycznego musiał przerabiać i wystawiać niesmaczne, trywjalne bomby wiedeńskie w rodzaju *Syreny z Dniestru* lub działające na paradyz cklive dramidła niemieckie. „Bądź pewnym, że na sztukach Kornela, Woltera, Szyllera, Ifflanda zliczysz widzów na palcach; lecz kiedy ogromny afisz ogłosi *Syrenę z Dniestru*, siedź w domu, bo cię w teatrze uduszą — pisze A. T. Chłędowski.³

Teatr, jeśli miał istnieć, musiał z konieczności oprzeć swą egzystencję na tej „wysokiej“ i niewybrednej, ale wiernej mu publiczności. Zachowywała się ona zbyt głośno a czasem nawet nieprzyzwoicie⁴, ale też, jak na urodzonych Lwowian przystało, przejmowała się całą duszą tem, co się na scenie dzieje. Szczególną wrażliwość posiadała na to wszystko, co się odnieść dało do współczesnego narodowego położenia. Najobojętniejsze nieraz zdanie z obojętnej i obcej duchem sztuki, wymówione z pewnym szczególnym naciskiem przez aktora, wywoływało manifestacje nieoczekiwane.

„Dar Kamińskiego w dobieraniu scen elektryzujących był nie zrównany; często jednym słówkiem, uśmiechem dwuznacznym, furażerką, przypo-

¹ Oto wyjątek z listu J. N. Kamińskiego do T. Wasilewskiego, z 17 marca 1830: „Gospodarz wypowiada mi sądownie mieszkanie, żyd grozi zabiorem ruchomości, Pan Benza zdefiniował, aby teatr zamknąć i oświadczył, że już więcej grać nie będzie — reszta aktorów żąda przynajmniej po kilka reńskich... O moim domu już nie wspominam. Nie uwierzysz JW Panie, zem dnia wczorajszego z rodziną nie miał nie ciepłego w ustach, bo kilka złotych na kuchnię przeznaczonych, odebrali zgłodniałi aktorowie pomniejsi. Dziś na obiad Starzewskim i sobie sprzedałem Dykejonarz włoski i *Dworzanin* (!) Górnickiego“. Rkps. Ossolineum 3. 230.

² *List Lwowianina do przyjaciela (Pszczota polska, 1820, I, str. 303)*

³ *Pamiętnik lwowski, 1818, II, str. 42.*

⁴ „Tu galerja burmistrzuje... W każdym innym teatrze w milczeniu siedzi głębokiem paradyz i galerja, odezwać się nie wolno; tu jak rozpuszczają gardło, żaden dojeżdżacz w kniei głośniej nie krzyknie. Są to zapewne albo studenci, których sąd jeszcze nie dojrzał, albo rzemieślnicy, których już nie dojrzeje. Liczba ich przenosi liczbę ludzi sztuki znajomych“. — W. Chłędowski: *Teatr we Lwowie (Pszczota polska 1820, III, str. 282.)*

minającą polski lub francuski mundur, wywoływał burze uniesienia... W ciężkiej, ciemnej niewoli wcale nie poetyczna myśl a proste słowa stają się piorunem. Gdy Nowakowski na *Krakowskiem weselu* jako Organista wołał: „Miło tupnąć o tę ziemię, wszakże to jest ziemia nasza,“ tysiąc rąk konwulsyjnie, czem mogło łomotało, tysiąc piersi dychało w gorączce, tysiąc dusz tę ziemię brało w posiadanie. A czyż może być co więcej prozaicznego, co chłodniejszego, jak cała ta śpiewka.“

„Pomnę jak raz na jakieś uroczyste wystąpienie Kamiński ułożył obraz. Na przodzie sceny stał piękny husarz, oparty na tarczy, herbem Galicji ozdobionej. Cóż lojalniejszego? Ale Słoński, przedstawiający husarza, lamparcią skórą zakrył przypadkiem kawki, a w bengalskim ogniu błysnął biały orzeł na czerwonym polu (herb ks. oświęcimskiego). Wstrząsł się teatr jakby się ziemia zatrzęsła a komisarz policji Fraporta meldował nazajutrz: *Ein Zufall, wenn nicht der boese Wille des bewussten Słoński, gab Anlass zu einem Skandal, dem erst die Polizei ein Ende machen musste.* — Słoński poszedł na trzy dni do kozy“¹

Te nastroje teatru lwowskiego są ważne nie tylko dla zrozumienia duszy ludzi ówczesnych, ale także dla uchwycenia ducha komedji fredrowskiej. Biję w niej to samo tętno wzruszeń, porywów lub odrazy, które nurtowało duszę społeczeństwa. Jak całe życie ówczesne, była ona zgnębiona i skrępcwana. Pozostawała pod policyjnym nadzorem. Swoją myśl i swe uczucie musiała wyrażać nieraz, podobnie jak teatr i publiczność ówczesna, przy pomocy form i środków, których istotne znaczenie i intensywność uczuciowa kryła się poza skromny, niepokąźny wyraz zewnętrzny.

Czy może być coś bardziej skromnego, przyziemnego niemal, jak n. p. ten wiersz z zakończenia *Cudzoziemczyni*: „Co cudze djabła warte, a najlepsze swoje!“ — Ale dla Fredry i dla ludzi ówczesnych przez to — „swoje“ rozumiał się nie tylko strój i sposób życia Radosta, lecz Polska cała jak długa i szeroka, z całą swoją przeszłością i teraźniejszością, z wszelkimi nadziejami i lękiem o przyszłość, z swemi dziećmi przywiązaniem lub wyrodnem — a pod „cudze“ podpadała nie tylko „cudzoziemczyni“, ale cały zabór obcy i wszystko to, co go przedstawiało i utrzymywało. Powiedzenie Makarego w *Gwaltu, co się dzieje*: „Myślę, żeście trzy stare, brzydkie baby... że gdzie wy rządzą, tam gorzej, niż w piekle“ oznaczało nie co innego — tylko trzy państwa zaborcze. Pogląd na oplakaną rolę dziejową Jowialskiego i jego warstwy ilustrował poeta przy pomocy niewymyślnej zabawy w sułtana, a etyczną wartość, „młodych“ tem, że wprowadzał Wiktora w asystencji dwu austriackich landsdragonów, umieszczając równocześnie Ludmira w rozczulających objęciach rodziny Jowialskich.

¹ L. Jabłonowski: *Pamiętniki*, str. 31—33.

Czy teatr lwowski odegrał naprawdę tak wielką rolę w twórczości Fredry, jak o tem zapewnniają nas Wł. Zawadzki i Lud. Jabłonowski, który posunął się aż do twierdzenia,¹ że aktorowie lwowscy komedię fredrowską „w myśli autora poczęli, oni zarysy działających osób nakreślili (!), oni dali mu swoje pojęcia (!) o sztuce i znajomość tajemnic sceny“? Są to fantazje literackie pokolenia młodszego, oparte zdaje się na tem, że Fredro w czasach późniejszych, kiedy to już przestał pisać dla sceny, przyjmował chętnie u siebie aktorów lwowskich, jak Kamińskiego, Benzę, Nowakowskiego, Dawisohna i t. d.

W epoce twórczości jego stosunki z teatrem są dość luźne. Z powodu popularnego nastroju tutejszego teatru i warunków cenzurowych pierwsze swe sztuki przeznaczał dla Warszawy, tylko *Męsa i żonę*, jako daninę dla sosjety miejscowej, przeznaczył dla Lwowa. Następne sztuki ukazują się już we Lwowie, ale w czasie nieobecności poety (*Zrzedność i przekora*, *Nowy Don Kiszot*, *Cudzoziemczynna*, *Pierwsza lepsza*). O ile niektóre ze sztuk późniejszych otrzymały interpretację poprawną i należytą a *Zemsta* wręcz wzorową i nazawsze obowiązującą, o tyle inne (*Śluby panienskie*, *Ciotunia*, *Dożywocie*) nie znalazły zrozumienia i odpowiednich wykonawców, a *Pan Jowialski* został wręcz zwichnięty i wypaczony. Do tego byoby nigdy nie przyszło, gdyby Fredro, jak to usiłował wmówić w nas Zawadzki², uczestniczył w próbach swych utworów i niemi kierował, gdyby prawdą było, że tak długo „nie dopuścił przedstawienia, dopóki próby nie odpowiedziały zupełnie widokom autora.“

Dzisiaj, z odległości historycznej widzimy jaśniej przyczyny, które sprawiły, że teatr ówczesny mimo znakomitych aktorów nie mógł „wziąć“ komedji fredrowskiej. Jedną z ważnych przyczyn były warunki cenzuralne. Gdyby *Geldhab*, *Gwałtu co się dzieje* i *Pan Jowialski* otrzymały taką interpretację, jakiej wymaga sztuka, to prawdopodobnie nie tylko opieczęto-wanoby teatr, ale zamkniętoby do kozy aktorów wraz z autorem i całą publicznością. Drugi powód jest ten, że aktorowie ówczesni byli znakomitościami, ale znakomitościami swego czasu i ówczesnej szkoły aktorskiej. Kształcili się na repertuarze niemieckim (szyllerowskim) lub klasycznym francuskim; w jednym i drugim istotę gry stanowił „szlachetny“ gest, odpowiednia deklamacja i uchwycenie zasadniczego tonu granej postaci. *Zemsta* może dlatego tak świetnie wyszła w tutejszym teatrze, że ma coś z podniosłości i powagi dramatu. Na podstawie świadectw ludzi ówczesnych nabieramy przekonania, że doskonale tutaj grano pierwsze, istotnie klasyczne komedje Fredry lub sztukę tak deklamacyjną jak *Odludki i poeta*, ale tam, gdzie

¹ L. Jabłonowski: *Pamiętniki*, str. 32.

² Wł. Zawadzki: *Literatura w Galicji (1772—1848)*, Lwów 1878, str. 25.

chodziło o wydobyte całości z gry drobnych odcieni (*Śluby, Ciotunia, Pan Jowialski, Dożywocie*), sztuka ich nie mogła nadażyć za dziełem. Trzeci i najważniejszy powód to brak znakomitych aktorek na ówczesnej scenie lwowskiej. A ta okoliczność jest bardzo ważna dla komedji fredrowskiej, w której postaci kobiece grają rolę ważną lub nieraz pierwszorzędną. Można sobie wyobrazić, ile to traciły *Śluby panieńskie* lub *Ciotunia* w drugorzędnej obsadzie kobiecej.

*

Mówiąc o Lwowie ówczesnym, niepodobna pominąć milczeniem tego, co stanowiło wewnętrzny charakter tego miasta i tworzyło jego duszę. Ten Lwów ówczesny, odrapany, brudny, źle zabudowany, duszący się w jarzmie politycznej i gospodarczej niewoli, był pomimo więzów, pomimo austriackich szpiclów lub katów, pomimo czeskich i niemieckich przybłędów, pomimo własnych kosmopolitycznych zgniółków lub pociesznych „koronnych“ mandarynów, był wtedy, jak i później, miastem naprawdę żywych ludzi. „Jednakże w tym biednym Lwowie gromadziło się wszystko, co omijało pyszałkowatą Warszawę lub zarozumiałe cmentarzysko, zwane Krakowem“ — powiada wyrodny syn Warszawy, L. Jabłonowski¹. O „zwyyczajnym temu miastu rozgardjaszu młodzieńczym i junackim“ wspomina z zachwytem nawet człowiek, tak owemu „rozgardjaszowi“ daleki i obcy, jak Michał Grabowski². Silnem, żywem tętnem biło tu zawsze czujne wyteżone, polskie życie. Było to miasto, które posiadało zawsze swoisty, odrębny temperament.

Dusza Lwowa kształtowała się i urastała na tem bezimiennem, szarem podłożu, któremu na imię — lud lwowski. Lwów bowiem ówczesny należał do tych osobliwych miast, które, podobnie jak Wenecja, posiadały lud własny. Nie mieszczaństwo ani też proletarjat miejski, bo to miały i mają wszystkie większe miasta. Nie wieśniaków z pod miasta, jak Kraków, ale istotny i prawdziwy lud miejski.

Siedział w małych gospodarskich domkach po rozległych przedmieściach, po peryferjach miasta, po przysiółkach i wioskach najbliższych, po tych wszystkich Zamarstynowach, Sygniówkach, Wólkach i Pasiękach najrozmaitszych. Trudnił się małym, do potrzeb miasta przystosowanym gospodarstwem, warzywnictwem, krupiarstwem, drobnem rzemiosłem, zarabkował osobiście lub z swym konikiem. Biedował najczęściej, ale kochał swe miasto, był doń przywiązany i bardzo zeń dumny. Wszelkie austriackie czy galicyjskie paragrafy administracyjne nie zdołały zerwać

¹ Jak wyżej, str. 28.

² Michał Grabowski: *Wypadki galicyjskie*. Rkps. Ossolineum 3. 245, str. 6.

w nim wiekowej i tradycyjnej łączności z „naszym Lwowem“, łączności zadzierzgniętej w tej dobie, kiedy jaśniał jeszcze w swej chwale nieugięty Najjaśniejszej Rzeczypospolitej rycerz i jej pomnożyciel.

Lud ten, jak całe dawne życie, niknie i schodzi do grobu nieznanym i zapoznany. Literaci, myszkujący zawsze za tem, co uderzające, wyjątkowe i osobliwe, chwyтали, jak Józef Dzierzkowski lub nowsi kabaretowicze — męty miejskie. A męty to nie lud. Jedna tylko Konopnicka, choć „nietutejsza“, natknęła się swym iście kobiecym instynktem na tę szarą, niepokaźną rudę, podniosła ją z lyczakowskiego piasku i, choć z rozbrajającą niezajomością tutejszych stosunków, pokazała ją jednak promieniom bożego słońca — w *Banasiowej*.

Lud to godzien wspomnienia. Gorący, zapalny, wpadający łatwo w podniecenie, nie posiada nic z ociężałości i skrytości, właściwej Rusinom. Podrażniony do żywego, rozpuszcza „gębę jak wrota“, bo gębę ma prawdziwie „niewyparzoną“. Przy całej jednak nerwowości i skłonności do uniesień (złych i dobrych) jest „rozeznany“, na argumenty rozumowe podatny, wobec racji ustępliwy, krytycznie przytem myślący, obserwator bystry a ironista niezrównany.

Choć posiadał zawsze, a w 1848 r. i w dobie „tromtadracji“ szczególnie, swoje wielkości i swoich ulubieńców (Jan IV Dobrzański), nie znosił, żeby mu czemkolwiek imponować („grać funia“). Sam kpił chętnie a kaśliwie z swoich wielkości, z swoich instytucyj, z swoich lwów i ze swej Peltwi, ale nie lubił, kiedy sobie na to pozwalali, „cudze ludzie“. W interesach i w targu twardy, pracownik za to niezrównany i sumienny, ale wymagający wyjątkowo uprzejmego, wręcz sąsiedzkiego traktowania.

Lud głęboko religijny. W niedziele i święta gromadził się po swych parafjach na sumę i nieszpory, z senatorską powagą nosił chorągwie i obrazy na procesji, wyśpiewywał litanje, godzinki i różańce. Tysiącnym orszakiem ciągnął rok rocznie na stacje krzyżowe do Kalwarji Paclawskiej, na odpust do Milatyna lub do Hodowicy. Szczycił się tem, że „nasza“ Najświętsza Panienska z katedry jest Królową Korony Polskiej, wielbił ją ową przecudną, a cały sentyment miejscowy, zamykającą pieśnią: „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa“. Szczególną czcią otaczał pewnych ulubionych świętych: bł. Jana z Dukli, św. Antoniego, a zwłaszcza świętych rycerzy: Michała i Marcina.

Wierzył gorąco w ich i Najświętszej Panienski szczególną opiekę nad miastem, w ich wstawiennictwo niebieskie podczas ciężkich przejęć ogólnych i narodowych. Ze zgorszeniem patrzył na wielkemiejskie zepsucie „dzisiejszych czasów“ i przepowiadał karę bożą, która objawi się zapadnięciem miasta. Bo dwa razy już trzęsła się ziemia i miasto opadło, choć leżało

przedtem równo z Wronowską Górą, ale gdy trzeci raz nastanie trzęsienie, to zapadnie się na zawsze.

Z ludu lwowskiego jest wzięta w *Pierwszej lepszej* epizodyczna postać Zosi, w której uwydatnił poeta nie tylko wdzięk naiwny, ale cnoty tak piękne, jak przywiązanie do swego środowiska, brak podziwu dla wyższych stanów i poprzestawanie na swoim. Ofiarowane jej przez Alfreda małżeństwo i błyszczące widoki zostania „wielką panią“ odrzuca bez wahania, a wszelkie ponętne obietnice zbywa grzecznie, wracając ciągle do swego: „Bardzo dziękuję! Ja Pawelka wolę“ (sc. 4).

Ciętość, zmysł obserwacyjny i ironja ludu lwowskiego, schowana pod maskę szewczyka Ignaca Kurka z „Horoszczyzny pod numerem sto jeden i trzy, kole szynku pana Mikołaja,“ służy Ludmirowi do demaskowania filisterstwa i marazmu życiowego Jowialskich. Tylko rycerskim tradycjom i wspomnieniom, których poza Lwowem nie posiadało nigdzie mieszczaństwo polskie, przypisać należy możliwość owych cech i upodobań rycerskich, jakie poeta nadał drobnemu mieszczaństwu w Osieku (*Gwałtu co się dzieje*). „Sztuczne ognie ludowych demonstracyj“ tak charakterystyczne dla Lwowa w pamiętnym 48 lub w przeddzień 63 roku, tworzą tę palną i duszną atmosferę, w której nurtuje postać tak typowa w narodowym życiu miasta przed 1863 rokiem, jak Podziemski (*Teraz*).

EUGENJUSZ KUCHARSKI.



F.7405

F
7405